Rok I. Kraków, październik 1932. Nr. 4.

NASZA MYŚL

Pisemko Wychowanków M. Zakładu wychowawczego
BR. BR. ALBERTYNÓW
w Krakowie na Zwierzyńcu.

Wychowankom Albertyńskim na Zwierzyńcu.

Na Zwierzyńcu, nad szemrzącą wieczny pacierz Wisłą,
Okolona murów wieńcem niezdobytym,
Straż trzyma nad Wami twierdza świętości. —
Tak bliska i tak znajoma oczom waszym,
Że może nawet czasem w roztargnieniu
Nie widzicie jej czoła. —
Bo człowiek na wszystko musi patrzeć z pewnej odległości,
By docenić czegoś wartość i piękno. —

I wy więc pewno rzadko myślicie sobie, że o kroków parę
Czuwa nad dolą waszą błogosławiona Bronika,
A u Boga łaski wyprasza wam modlitwami swemi
Sióstr białych zastęp, który zamyka klasztor norbertański. —

A jednak, powinniście sercem odczuwać to dobro,
Że żyjecie tak blisko miejsc, które są pamiątką
Świętej rodaczki naszej —

Pomyślcie jak to przed wiekami pod to samo niebo
Co nad nami rozpina strop błękitny
Wzlatały Jej westchnienia tak miłe Bogu —
I że tu na obłoku, ukazała Jej się Matka Boża —
Do raju Zbawienia prowadząca duszę ojca Jacka —
Że za żywota tu Dominikanin pierwszy w Polsce
Tam przychodził z Krakowa od Świętej Trójcy kościoła
I uczył Siostry odmawiać różaniec —
I tam białe mniszki opłakały śmierć ojca Jacka Odrowąża. —

Tam to tatarskie strzały nie przemogły wiary ludu,
Który prosił o pomoc bożą —
Tam to włóczek młody całą hordę zwyciężył
Którego corocznie przypomina wam Lajkonik. —

Tyle wspomnień — —
A przecież to wszystko było tak niedawno!
Bo czemże są wobec wieczności — wieki?
Nie raz może, któryś z was zmęczony
W warsztacie boryka się z pracą i ręka mu opada utrudzona —
I smutek ogarnia go podświadomy. —

Aż tu nagle serce jakaś radość tajemna mu przenika,
A w ręku szydło czy inne narzędzie weselej migota,
I sam nie wie, co radością napełniło jego duszę —

A to pewnie święta Bronisława zaszczepiła mu myśl dobrą
Zadowoleń z wypełnionych obowiązków —

Bo czemże byłby człowiek bez pracy?
I bez poczucia, że jest pożyteczny w społeczeństwie?

O jakże miła jest wasza radość Panu Bogu —
Gdy po pracy bawicie się wesoło i bez troski! —

Każdy z was jest tą cegiełką, z których jest zbudowana Polska nasza —
I tak jak niegdyś Zwierzynieccy włóczkowie,
Wybronili Ojczyznę od tatarskiej watahy,
Waleczności zapałem i męstwem —
Tak wy ją trzymacie na swych barkach mocno —
Uczciwością i pracą. —

A ten szczęścia promień słoneczny dla was samych,
Co człowiekowi każdemu ma zaświecić w życiu —
Zdajcie na wolę Boga —
I wierzcie, że go wam wymodli
Święta biała Siostra Premonstrantka Bronisława
I wasz Ojciec Brat Albert. —

MICHALINA JANOSZANKA.



Grupa byłych wychowanków.

1912 - 1932.

20-lecie istnienia naszego Zakładu.

Rok 1932 jest wielkim i drogim dla licznej rzeszy synów Czcigodnego Brata Alberta. Minęło piętnaście lat, jak opuścił ten świat Zakonodawca Zgromadzenia Braci Albertynów, wierny naśladowca św. Franciszka z Assyżu — Br. Albert. Zasnął słodko, snem wiecznym, zostawiwszy w wielkim i nieutulonym żalu swoich synów duchownych i rzesze całe tych, których wielkie Jego serce szczególniej umiłowało — ubogich i sieroty, przebywających w przytuliskach i zakładach, rozsianych już wtedy po całym kraju. Piętnaście lat minęło od tej chwili boleści ale i triumfu, gdyż zapoczątkowane Jego opatrznościową ręką — dzieło, postępuje w imponującym rozwoju.

Ale jest i druga rocznica miła i wielka dla półtysiącznej rzeszy wychowanków zakładu krakowskiego. Oto w październiku b. r. mija dwadzieścia lat od powstania naszego zakładu. Miła to i podniosła dla nas wszystkich rocznica powstania tej placówki, z której przez lat dwadzieścia tyle już wyszło młodzieży na ludzi dobrze w Polsce pracujących, w różnych gałęziach wiedzy i umiejętnościach wyćwiczonych. Swą sumien-

ną pracą spłacają dług wdzięczności, jaki względem społeczeństwa zaciągnęli. Zachowują oni w sercach dla swych wychowawców miłość, przywiązanie i tak rzadką dziś w świecie — wdzięczność!

Dlatego śmiało twierdzić można, że mimo kryzysu i ciężkich czasów weźmie udział w uroczystościach jubileuszowych naszego zakładu znaczna gromada b. wychowanków. „Skąd taka pewność?“ — zapyta niejeden. — „Przyjdą, bo nietylko pragną odświeżyć wspomnienia w tych murach, w których niejedną piękną chwilę życia swego przeżyli — przyjdą nietylko, by spotkać towarzyszy minionych chwil, towarzyszy doli i niedoli życia zakładowego, — przyjdą, by spełnić synowski obowiązek względem tych, którzy w młodości potrafili zastąpić serce i ojca i matki. W głębi ich serc tkwi sylwetka długoletniego przełożonego zakładu br. Wincentego, który dla nich miał surowość ojca, ale także wyrozumiałość, dobroć i miłość matki. Tkwi ona w sercu niejednego obok ojcowskich jego rad i wskazówek, których nie szczędził, a któremi kształtował po mistrzowsku młodociane dusze. Nie zatrą jej żadne burze ani załamania duchowe.

Dwudziestoletnia rocznica istnienia naszego zakładu — to rocznica wielce odpowiedzialnej, trudnej, ciężkiej i pełnej poświęcenia pracy wychowawczej.

Sięgnijmy pamięcią wstecz do roku 1912, kiedy nowopowstała instytucja pierwsze stawała kroki. Stary, ciasny I piętrowy budynek poszkolny na Półwsiu Zwierzynieckiem stał się kolebką zakładów wychowawczych Zgromadzenia Br Br. Albertynów. Umieszczono w nim 40 wychowanków. Sam charakter zakładu jak i szczupłe pomieszczenie nie dawały możności prowadzenia systematycznej pracy wychowawczej. Lecz tym brakom przeciwstawiali wychowawcy z br. Wincentym wprost ogromny zmysł praktyczny i jak mogli, tak starali się walczyć z przeciwnościami, które na każdym kroku spotykali.

Dziś rezultat pracy jest nadto widoczny. Wybudowanie nowego skrzydła, a przedewszystkiem doprowadzenie zakładu do poziomu, na którym dziś się utrzymuje, to zasługa mrówczej, cichej, w duchu bożym prowadzonej pracy br. przeł. Wincentego i współpracowników. Zakład nasz zajmuje godne miejsce w gronie podobnych instytucji np. Bursy Ks. Kuznowicza, Zakładu Ks. Siemiaszki, X. X. Michaelitów i in.

W związku z obchodem uroczystości zakładowej nasuwa się pewna sprawa. Bardzo byłoby pożądanem, by w celu uczczenia i upamiętnienia wielkiej rocznicy przystąpili b. wychowankowie do zawiązania organizacji, którąby ogarnęła tych wszystkich, którzy wyszli z jednego gniazda i których łączy jedna idea.

Rola zakładu wychowawczego nie kończy się tylko na przysposobieniu wychowanka do pracy i puszczenia go w świat, ale zakład powinien wywierać wpływ na dalsze życie wychowanka. Roli tej powinna się podjąć organizacja b. wychowanków i współpracowników Zakładu, która bierze w opiekę każdego wychowanka opuszczającego mury zakładu. Tym sposobem ratuje go od zepsucia i goryczy jaka ich spotyka w początkach „niezależnego" życia. Powstanie takiej organizacji będzie manifestacją, że dzieło Brata Alberta wydaje owoce, że wychowawcy naszego zakładu umieli natchnąć swych wychowanków do pracy nad urzeczywistnieniem swoich, względnie Polski celów.

Niechże obaczą nas nasi wychowawcy w tym jubileuszowym roku po naszej pracy, że ich cenimy i kochamy, a pamięć ich Założyciela czcimy czynami.

Wychowanek.

CZY WIECIE, ŻE . . .

. . . w sierpniu b. r. dom im. Br. Alberta w Przemyślu obchodził uroczyście rocznicę 25-lecia swego istnienia. Uroczystość, w której wzięli udział także wychowankowie zakładu lwowskiego z orkiestrą, wypadła pod każdym względem imponująco. Podniosła uroczystość wykazała tężynę nie tylko duchową, ale i fizyczną młodzieży, której wykładnikiem były zawody sportowe. W obchodzie w imieniu zakładu krakowskiego wziął udział br. przeł. Gerard a nadto instytucji, z którą łączą nas nici szczerej przyjaźni wysłano depesze gratulacyjne.

. . . 20 sierpnia wychowankowie zakładu warszawskiego, wraz ze swym przeł. br. Józefem przechodząc z Doliny Pięciu Stanów koło przełęczy Zamarłej zauważyli zwłoki dwóch młodych turystów w straszny sposób zmasakrowane skutkiem upadku ze skały. Natychmiast o swem odkryciu zawiadomili schronisko na Hali Gąsienicowej. Przybyli członkowie Ochot. Pogotowia Ratunkowego rozpoznali w zabitych znanego narciarza Wojciecha Gąsienicę — Marcinkowskiego, studenta z Krakowa oraz przyjaciela jego Macieja Bośniackiego, studenta Politechniki ze Lwowa.

. . . przysłowiowa pogoda lipcowa w Zakopanem zawiodła podczas tegorocznych wakacyj nasze nadzieje. Z prowadzonej bardzo starannie statystyki kol. Kaz. Gwizdka wynika, że zaledwie 12 dni mieliśmy pogodnych a reszta . . . to albo lekki deszczyk, albo „ciężki", taki z piorunami i wiatrem halnym.

Ks. Władysław Staich.

BRAT ALBERT

W POWIEŚCI ST. ŻEROMSKIEGO.

. . . Był onego czasu człowiek bardzo piękny, dostojny, oświecony i ogładzony w towarzystwie ludzi zamożnych. Urodził się i wychował na pana. Oprócz tego był artystą. Zdarzyło mi się widzieć jego obraz z czasów młodości. To dzieło nosiło nazwę — „Ogród miłości".

Kto na nie patrzał, musiał pomyśleć o swych latach szczęśliwych, o marzeniach wiośnianych, musiał ujrzeć swą młodość. Jest w tem malowidle jak gdyby młodość wszystkich ludzi na całej ziemi, szczęście porannych dni rodu ludzkiego, w niepojęty sposób zebrane i okazane w jednym widoku. Martwe farby tchną tam widokiem kwitnących drzew, pachną kwiaty . . . .

Lecz nie o tem mam mówić. Ów piękny młodzieniec, któremu szczęście dawało klucze od wrótni ogrodu miłości, poszedł z innymi na pole bitwy. Był ciężko poraniony, a nawet stracił nogę . . .[1])

Gdy zaś przyszło nieszczęście najgorsze, najokrutniejsze *vae victis!* — wziął w swą duszę tak dużo pospólnego cierpienia, iż stracił coś więcej niż nogę, niż część ciała, bo stracił rozum . . . .

Tak ludzie mówili w mądrości swojej! Święty Paweł zapewnia Koryncjan, iż „moc boża wykonywa się w słabości". Tak i ten człowiek „znalazł upodobanie w niemocach, w potwarzach, w prześladowaniach, w uciskach dla Chrystusa." Gdzie wtedy był? Co robił? — Wspominają, że tułał się po zagraniczu obdarty, zdziczały, zabity na duszy, nieprzystępny. Przedtem, czy potem, bo nigdy od niego samego relacji nikt nie słyszał, a ludzkie relacje w takich sprawach są zawodne, — wstąpił do zakonu jezuitów.

Odbył nowicjat, zdaje się w kraju.[2]) Następnie udał się sam, czy z polecenia władzy do Rzymu.[3]) Jakie tam przeżył walki, jakie męki i załamania duszy, nikt nie wie. Miarą wszystkiego jest to jedno, iż porzucił ów zakon . . . .

Człowiek ten tyle złego zobaczył wówczas na świecie, iż mu się złe wszystko przedstawiło w obrazie szatana. I zdało mu się, że szatan w jego sercu obrał sobie mieszkanie. Zdało mu się, iż źródło i przyczynę przyczyn wszystkiego złego na ziemi nosi w sobie. I gdyby to źródło zniszczyć, zniszczy-

---

[1]) W powstaniu 1863 r. [2]) W Tarnopolu. [3]) Brat Albert w Rzymie nie był. W nowicjacie uznano go za chorego i oddano go do zakładu w Kulparkowie.

łoby się złe na ziemi i panowanie na niej szatana. To też pewnego dnia ten człowiek pchnął się w piersi sztyletem, sądząc, że zabija szatana.[1])

Odratowano . . . Uderzenie ostrza minęło serca. Rana dała się zagoić. I ta myśl nieszczęśliwa odeszła, jakby wypłynęła razem ze krwią z przebicia. I znowu nikt nie wiedział, gdzie ten człowiek jest, co ze sobą czyni, gdy ze szpitala wyszedł. Pewnego zaś czasu, w zimie, zjawił się w kraju i wszedł w stosunki koleżeńskie z dawnymi towarzyszami sztuki. Mieszkał pospołu z nimi w pracowni malarskiej. Izba ta mieściła się na ostatnim piętrze wielkiego hotelu. Bywało tam zimno i pusto. W tej wielkiej pustce raz wraz nocował ktoś z emigrantów bezdomnych, który wrócił z daleka, albo który z sybiraków.

Malarze schodzili się do pracowni za dnia i wykrzykiwali o swoich tam mniemaniach farbiarskich, poglądach, walkach, starciach. Ów człowiek samotny słuchał, co mówią, ale nie mieszał się do ich rozgwaru. — Posłuchał — posłuchał, roześmiał się i bez pożegnania odchodził. Na swej drewnianej nodze, w dziwnem odzieniu, jakby w żydowskim chałacie, czy ukraińskiej bundzie, postronkiem przepasany, wałęsał się po zaułkach wielkomiejskich. Zarabiał na życie dźwiganiem ciężarów, noszeniem pak do sklepów, posługiwaniem na towarowym dworcu kolei. Jednakże, gdy przybył do pracowni z rana, pod nieobecność kolegów i gdy nikogo nie zastał, zamykał na klucz tę izbę, rozkładał na podłodze wielkie arkusze rysowniczego papieru, przez innych zostawione i leżąc na ziemi, coś w tajemnicy rysował. Kilkakroć przez dziurę od klucza podpatrywali go przyjaciele. Nie przerywali mu, gdyż czcili jego „wielki a zmarnowany talent”. Lecz skoro tylko rozległ się szmer, dały się słyszeć szepty, odgłos stąpania, ów człowiek darł rysunek w drobne strzępy. Darł go zresztą i bez tych oznak nadejścia ludzi. Rysował pewnie męczarnię swej duszy, a któż ją oddać potrafi?

Gdy koledzy malarze wpadali do pracowni, ażeby ujrzeć, co też zrobił, popadał w gniewny szał. Niszczył wówczas wszystko. Zresztą coraz rzadziej pokazywał im się na oczy. Widywano go tylko przelotnie. Wiedziano, że „warjuje“, to znaczy, że chodzi nocami po najdalszych przedmieściach, po zaułkach, po krańcach, że podnosi z rynsztoków opuchlaków, nędzarzy, potyfusowych, głodomorów, kostniejących z zimna, pijaków w delirjum, wyrzuconych ze szynków na bruk łajdusów, nędzę bez nazwy i kierunku swej zbrodni, zdychającą na ziemi. Wiedziano, że zaczepia po glinianeach i rowach starych wałów kanalje, zmawiających się na zbój.

[1]) Takiego wypadku w rzeczywistości nie było.

Widywano go w towarzystwie takich oto ludzi, prowadzących ich dokądś, zmierzającego na ich czele w jakimś kierunku Nie było wówczas pogotowia ratunkowego, ani przytułków noclegowych. Było tylko jego obłąkane serce. Zrazu myślano, że może w obłędzie przystał do zbójów i dał się namówić do zbrodni. Później przekonano się, że jest to tylko święty oprawca zbierający ludzką padlinę, Chrystusów ceklarz, który się głupim stał dla miłości człowieka - - - - -

„Nawracanie Judasza“.

SIŁA WSPOMNIENIA.

Nadeszła na niego taka zła chwiła. Nie myślał wtedy o sobie, nie zważał na nikogo, na nic, nie zważał na siebie samego — i uciekł. Czynem tym zaskoczył wszystkich. Bywało (na wiosnę szczególnie), że ten i ów szedł na „zieloną trawkę” w myśl tego, że „natura ciągnie wilka do lasu”. Ale po Jurku tego się nie spodziewano. Był sympatyczny, koleżeński, pilny, robił wcale dobre postępy w nauce i był nadzwyczaj wesoły. Nadzwyczajna jego wesołość jednała mu serca wszystkich bez wyjątku. Podczas reakracji był rozrywany przez kolegów, którzy w jego towarzystwie śmiali się do rozpuku. Był bożyszczem zakładu. Długo bawiono się jego „kawałami”, a powiedzenia jego stawały się modne i obowiązywały wszystkich. Dobrze mu było w gromadzie, ale — uciekł. Postąpił wbrew przekonaniu. To oburzyło wszystkich: nie miał prawa tak postąpić.

Po jego odejściu każdy instynktownie wyczuwał, iż czegoś brakuje w zakładzie. Malcom brakło wodza zabaw, starszym inicjatora różnych wesołych kawałów. Nie zawsze jednak był on wesołym. Od czasu do czasu miewał takie dziwne chwile, w których odchodziła go zwykła wesołość, a on zapomniawszy o bożym świecie lubiał . . . marzyć. Bywało, że noc całą spędził przy oknie w sypialni, zapatrzony w czarne komtury klasztornego kościoła. O czem marzył nikt nie wiedział, bo zwierzał się tylko swemu serdecznemu druhowi. — Stachowi. Ktoś twierdził, że widział u Stacha obszerny album zawierający ilustracje okrętów i łodzi podwodnych wycięte z gazet. Album ten był często przedmiotem tajemnych rozmów obu przyjacieli. Przypuszczano, że pragnieniem Jura było zostać marynarzem i może dlatego uciekł.

— — — — — — — — — — — — — — —

Poszedł i błąkał się po ulicach miasta. Żył narazie z oszczędności, które w najlepszym czasie starczyć mu mogły

na dwa tygodnie — ale co dalej? Dalej zarabiał przygodnie a był nawet czas, że Jurek pracował na przedmieściu w jakimś podłym warsztacie. Mógł żyć, bo praca targowa dawała niezły zarobek, ale rzucił pracę, bo mu warsztat przypominał zakład. Rzucił pracę i znów się błąkał. Sypiał tam, gdzie go noc zastała. Brakło mu chleba i wtedy Jurek żebrać nie poszedł, ale wyciągnął rękę po cudzą własność. Chodziło o rzecz na pozór błahą, o mniejszą ilość jakiegoś produktu spożywczego, ale fakt ten zanotowała prasa pod codzienną rubryką: kradzież



... aż nagle milcząca wieża kapliczki ożyła.

Było samo południe. Słońce prażyło niemiłosiernie tu i ówdzie snujących się przechodniów. Jedną z ulic szedł Jurek, zasłuchany w głośny świergot wróbli. Nagle poczuł na sobie czyjąś rękę. Wzdrygnął się mimowoli i oglądnął. Był to jego serdeczny towarzysz z życia zakładowego: Stach. Tyle czasu upłynęło od czasu rozstania, tyle czasu . . . Jurek, nagabywany przez Stacha o powód ucieczki, otwarcie i gorz-

ko tłumaczył się, wynajdywał najrozmaitsze powody i preteksty byle Stacha przekonać, że postąpił dobrze. Udało mu się to, dzięki wymowie i zręczności. Był względem swego druha nieszczery i to poraz pierwszy. Pogawędzili jednak, jak za dawnych czasów.

— A możebyś ty Jurku wrócił do zakładu — wyrwał się nagle Stach. — Co będzie w naszej mocy uczynimy, by ci powrót umożliwić. Patrz! za dwa tygodnie wyjeżdżamy w góry, do Zakopanego! —

Na wspomnienie gór żachnął się Jur, podziękował przyjacielowi za dobre chęci i odszedł. Stachowi się zdawało, że przy pożegnaniu dłoń Jura dziwnie drżała i zauważył, że usta mocniej ścisnął zębami, żeby się nie rozpłakać. Żal mu się zrobiło druha zabaw i przyrzekł sobie w duchu, że wszystkich sił dołoży, by przełożonych zjednać dla Jura i ułatwić mu powrót.

Teraz Stach zrozumiał, że nadeszła pora, kiedy przekonać będzie musiał sam siebie. Zwlekał z dnia na dzień ze swym rachunkiem sumienia, lecz czuł, że taka chwila nadejść musi. Czuł, że tylekroć przytaczane przez niego powody — to głupstwa; co gorzej, — głupstwa nawpół tylko wprawdziwe.

Właściwie sam nie wiedział, dlaczego to uczynił. Swobody miał „tam" dość, druhów moc miłujących go szczerze, dobrą opinję u przełożonych. Dlaczego uciekł?

Ponieważ nie mógł dać odpowiedzi na powyższe pytanie, znalazł się Jurek w ogromnej rozterce ducha. Wprawdzie pochłonął go znowu wir życia codziennego, ale na dnie młodzieńczej duszy leżała sprawa niezałatwiona jego ucieczki drażniąca boleśnie za każdem dotknięciem.

— — — — — — — — — — — — —

Pewnej pięknej, czerwcowej niedzieli zebrał się Jurek i poszedł do podmiejskiego lasku. Wiosnę czuć było w powietrzu. Szedł lekko, rozpromieniony, bo upajała go woń ziemi, ciepło słońca, lekki podmuch wiatru — znał to kiedyś i kochał. Przypomniał sobie wakacje. Zaczęło się w nim dziać coś dziwnego. Serce jego łopotało a w uszach słyszał zawsze słowa: — Za dwa tygodnie wyjeżdżamy! — Słowa te wbiły się w jego umysł i nie mógł o nich zapomnieć.

Wszedł do lasu. Nie widział i nie słyszał co się wokół niego działo. Oczy nieruchomo utkwił w ciemną ścianę boru; na twarzy miał wypieki a na dusze spadły mu roje wspomnień.

. . . Młody, świerkowy las, poprzerywany owczemi perciami. Nagle las się przerzadza i widać poprzez gałęzie smerków dach kapliczki. Zachodzące słońce purpurawem światłem oblało białe, świerkowe gonty dachu kapliczki tak i zda się

że płoną. Dalej — dwa równoległe, długie budynki. Szereg maleńkich otworów pod dachem jednego — to okna cel zakonników, a drugi wyglądem szopę przypomina. O, widać nawet wejście . . . drabinę, którą on codziennie rano . . . i . . . wieczorem . . . Aż nagle milcząca wieża kapliczki ożyła; pod niebios sklepienie uderzył głos wdzięczny sygnaturki: Na „Anioł Pański". Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyłaniają się postacie mnichów w zgrzebnych habitach a wszyscy spieszą do wrót kaplicy. Jakże znane i drogie mu te postacie — to . . .

Co to jest? Ocknął się. Opodał jakieś liczne towarzystwo bawi się wesoło przy dźwiękach gramofonu. Przypomniał sobie gdzie jest. A jemu się zdawało . . . .

Chwila przerwy. Nagle uszu jego doszły dźwięki muzyki płyt gramofonowych. Popłynęły cudne tony Halki, ta jasna, cudna melodja: „Szumią jodły". Jurek zamknął oczy. Doszedł go wiew gór, lasów i hal. Widzi na obszernej polanie nad rzeką ognisko, a pod okopconym kociołkiem ogień trzaska wesoło. Dokoła siedzi gromada chłopców, i śpiewa o tym żołnierzu, co wędruje borem, lasem — o bandzie cyganów, która pod lasem ogień rozpala — wreszcie o tych mazurach, co jadą z góry, a nawet o tym góralu, któryby tańcował, gdyby „nie miał krzywyk nóg". Twarze znajome: Stach S. . ., Edek Cz . . . Władek L . . . — stara wiara zakładowa. On sam Jurek usiadł na powalonej kłodzie i gromadce młodych pięknie prawi o legendarnych zbójnikach tatrzańskich i ich „honornym" wodzu — Janosiku. Niejeden zerka ukradkiem w stronę ciemnego boru, czy nie skrada się uzbrojona postać liptowskiego strzelca albo misia-kudłacza.

. . . W tem od ciemnego, pobliskiego lasu płynie jakaś tajemna mowa, pełna tajemnych szeptów i gwarów . . .

. . . Czy pamiętasz Jurku, tą nieskończoną włóczęgę po niebosiężnych szczytach Tatr? . . . .

. . . Czy pamiętasz te beztroskie, cudowne noclegi nad Morskiem Okiem?

Pamiętasz te orle wrażenia z Rysów, Świnicy lub Orlej Perci?

Pamiętasz tą ścieżkę, która tańczyła przed tobą, gdyś samotnie błąkał się po turniach i halach?

Te wieczory górskie, te noce gwiaździste, te śpiewy juhasów — to życie na hali?

Te słodkie, dobre czasy — czy pamiętasz? . . .

Jurek zerwał się. Gdzie on jest? Dookoła las. Więc może to góry. Szukał wzrokiem gór po horyzoncie — naprożno. Spostrzegł w dali majaczące komtury rodzinnego miasta. W głowie huczała mu myśl jedna — wrócić.

Ciężką walkę w duszy własnej stoczył Jurek. Czuł się winnym i widział następstwa swego nierozważnego czynu. Najpiękniejsze chwile jego życia stracone, — a jaka będzie jego przyszłość.

Z jednej strony miłość i obawa — z drugiej fałszywy wstyd i duma. Ulec? Iść prosić o przyjęcie do zakładu? Walka była ciężka. Walka o pokój i przyszłość duszy młodzieńczej.

Zwyciężył. Po kilku dniach nieśmiało zapukał do furty zakładowej. Niepokój targał jego duszę — czy go przyjmą?

Na drugi dzień podczas posiłku otrzymali chłopcy instrukcję co do przygotowań do wyjazdu w góry — na wakacje. Nadto Brat dyżurny dodał, że również Jurek M. pojedzie z nimi, bo właśnie wczoraj został przyjęty do zakładu. Rozradowane twarze starszych, jaśniejące oczy średnich i niemilknące okrzyki najmłodszych świadczyły o tem, że wszyscy tutaj go kochają. Ten niezwykły a szczery dowód przyjaźni ze strony kolegów wycisnął łzę w oku młodego brata S..., który będąc przecież ojcem tej gromady cieszył się również z powrotu „marnotrawnego syna“. —

— — — — — — — — — — — — — —

I Jurek pojechał. Powitał go wiew gór, lasów i hal.

WU-EF.

Ekshumacja zwłok śp. BRATA ALBERTA.

Dnia 15 września br. na cmentarzu rakowickim, gdzie od r. 1916 spoczywają prochy Brata Alberta, odbyła się uroczystość przełożenia zwłok ze zbutwiałej trumny do nowej.

Około godziny 8-mej przystąpiono do otwarcia grobu w obecności delegata Kurji Metropolitalnej Ks. Władysława Staicha, fizyka Miejskiego Dr. Owsińskiego, Ks Lewandowskiego, Ks. prałata Króla, Ks. Dr. Nęcka, prof. Hajnosa, General. Przełożonego Zgromadzenia Braci Albertynów Br. Marjana oraz Braci i Sióstr Albertynek. Mimo iż uroczystość miała charakter prywatny, to jednak wzięło w niej udział sporo publiczności, wśród której szlachetna postać Brata Alberta zyskuje coraz większe uznanie.

Sama chwila otwarcia grobu sprawiła na wszystkich wielkie wrażenie. Garnięto się do zbutwiałej trumny, do garstki kości przykrytych szarym albertyńskim habitem jak do relikwij świętego. Pocierano o nie szkaplerze, medaliki i różańce. Następnie owinięto zwłoki Brata Alberta sztuką jedwa-

biu, przykryto nowym habitem i w całości umieszczono w nowej dębowej trumnie. Po zakończeniu tych czynności zwłoki śp. Brata Alberta spoczęły w dawnym grobowcu, a w kaplicy cmentarnej odprawił ks. Dr. J. Nęcek Mszę św. w intencji śp. Zmarłego.



Ekshumacja zwłok ś. p. Brata Alberta.

ŻYCIE ZAKŁADOWE.

Od Redakcji. Kto czytał już kiedyś „N. M." i zauważy powyższy tytuł — pomyśli: „Przecież dawniej była: **Kronika**, a teraz jakieś — Życie zakładowe! Co ten Redaktor zwarjował — czy co?" Nie, szanowny Czytelniku, nie zwarjował jeszcze redaktor, tylko chciał zwarjować. Bo pomyśl, że poraz pierwszy w jego karjerze redaktorskiej przyszedł mu list . . . z Warszawy!!! Biedak nie wiedział co ma począc. Czytał go po kilkakroć i pomyślał sobie w końcu. — Więc lody przerwane. Przemówiła Warszawa, da Bóg przemówi i Lwów, a może Przemyśl się odezwie . . . Dlatego pragnę uprzejmie wszystkim Kolegom zakomunikować, że mamy zamiar życiu zakładowemu poświęcić wiele uwagi i jeszcze więcej miejsca. Więc popróbujcie swego pióra i piszcie jak najwięcej a przedewszystkiem pragnęlibyśmy wiedzieć co tam u was słychać. Tymczasem:

HALLO! WARSZAWA MA GŁOS!

Warszawa. Kochani Zwierzyniacy! Przykro nam bardzo, że musieliście tak długo na nasze wiadomości czekać. Lecz trudno, troszkę cierpliwości, a wszystko się wyjaśni. Przyczyną tak długiego „silentium" z naszej strony było primo: brak waszego zapału, secundo: brak wrażeń. Zresztą sami o tem wiecie w jakim świetle przedstawiliście nas, w Waszem poczytnem piśmie. Czy Redaktor o niczem nie wiedział pisząc to? Bo jeżeli Redaktor chciał nam sprawić tem opublikowaniem przykrość, to trudno, musimy z tem się zgodzić. Z naznaczeniem, że pogodzenie nasze będzie równoważnem i że znajdzie „locum" w Waszem piśmie.

Nasze wrażenia. Dnia 19 III br. odbyła się w zakładzie wielka uroczystość z okazji imienin, w pierwszym rzędzie p. Marszałka J. Piłsudskiego, następnie ks. Kapelana, Br. Przełożonego i p. wychowawcy — Majewskiego . . .

W maju br. ruszył się u nas ruch sportowo — strzelecki. Hufiec P. W. starał się o oznakę strzelecką i egzamina (zdali prawie wszyscy) . . . No i pływanie dobry sport, co?

Dnia 5, 6, 7, 8 VI b. r. odbyła się w sali Rady Miejskiej (na pl. Teatralnym) wystawa zakładów opiek. stolicy. Na tej wystawie mogliśmy i mogliście podziwiać różne piękne rzeczy, a więc: robótki dzieci od 7-miu do 20 stu lat. Rozumie się, że my jako bracia wielkiej rodziny Wiel. Sługi Bożego Br. Alberta możemy się pochwalić przed Wami, jako przed starszymi braćmi, że nasza wystawa też wprawiała naszych widzów w podziw. A było na co patrzeć; zdjęcia amatorskiego koła fotografów, eksponaty warsztatów: szewskiego, krawieckiego i kamaszniczego.

Na wystawie grały różne orkiestry, lecz między innemi i nasza. Musimy nadmienić, że orkiestra nasza, niegdyś potężna, obecnie zeszczuplała, pod względem sił fachowych. Ubyło od wakacji 3-ch kornecistów (w tem jeden solowy), 3 klasa tenorzystów, 4 ch dobrych klarnecistów, 1 trąbista Es, 2 basistów, no i najważniejsze to, że kapelmistrz zmieniony. W Warszawie odbywało się piękne widowisko historyczne p. t. „Krzyżacy", w którym nasza orkiestra brała czynny udział.

Z wielkiem utęsknieniem oczekiwaliśmy końca roku. 25, 26 i 27 czerwca odbywały się egzamina. Każdy z odcieniem obawy oczekiwał swego wezwania. Dopiero jak dalszy osobnik wychodził z klasy wyrywało mu się z piersi ciężkie: Oooo! już . . . nareszcie!!! Musimy zaznaczyć, że rok bieżący był szczególnie urodzajnym na niwie szkolnej. 2 całe klasy najstarsze zdały na „czysto" a więc: wszyscy z klasy 2-giej przeszli do 3-ciej, a klasa III ukończyła szkołę.

Na wręczenie świadectw t. j. dnia 29 VI w uroczystość Św. Św. Piotra i Pawła odbył się uroczysty „Poranek" na zakończenie roku szkolnego.

Mamy wzgląd na „wygę zakładowego" więc, żeby go nie męczyć

kończymy — *Jakubowski Stanisław.*

Kraków.

„Upływa szybko życie,
jak potok płynie czas —
za rok, za dzień, za chwilę
razem nie będzie nas" . . . .

Znana to piosenka, niedługa, ale prawdziwa. „Jak potok popłynął czas", i minęły wakacje, które tak wesoło spędziliśmy w górach, w naszych polskich Tatrach. Cicha, urocza pustelnia na Kalatówkach położona najwyżej bodaj w Polsce, bo na wys. 1200 mtr., rozbrzmiewała gwarem i śmiechem rozbawionej naszej gromady przez caluśki lipiec. Przez cały miesiąc używaliśmy słońca, powietrza górskiego i swobody. Jedynem naszem zajęciem były ćwiczenia cielesne (drapanie się po górach, „zbóje i żandarmy" i tp.) i „przymusowy" posiłek 5 razy dziennie. Ku zadowoleniu przełożonych z powyższego obowiązku wszyscy się znakomicie wywiązali. No, zresztą nie trudno . . . .

Dźwięki naszej orkiestry zwabiały do nas „na górkę" liczne rzesze turystów i spacerowiczów, którzy przy sposobności zwiedzali naszą siedzibę. Urządziliśmy kilka większych wycieczek w góry np. do Morskiego Oka, Świnicę, Doliny Kościeliskiej, na Krzyżne.

Spełniły się całoroczne nasze marzenia: — byliśmy w górach! — Z żalem żegnaliśmy góry, hale i lasy, a w wagonie

. . . . niejeden odjeżdżając żegnał smutnym wzrokiem
hale, orle perci, granie, turnie wysokie,
i uwoził ze sobą wspomnienia kochane:
„Ach, to Zakopane!"

Imieniny Brata Przełożonego Wincentego obchodziliśmy uroczyście w dniu 19 lipca b. r. w Zakopanem. W serdecznych słowach przemówił do Solenizanta ks. dr. J. Nęcek. Wychowankowie odśpiewali uroczystą kantatę z towarzyszeniem orkiestry. Kolejno składały delegacje organizacyj zakładowych życzenia wraz ze skromnemi, pamiątkowemi upominkami. Na zakończenie przemówił Solenizant, który podziękował wychowankom za ten objaw wdzięczności i miłości. Odegraniem wiązanki pieśni z opery „Halka" przez orkiestrę dętą zakończono tą miłą uroczystość

„Niemrawa".

NIHIL OBSTAT

Kraków, dnia 28 września 1932 r.

Ks. Dr. Kazimierz Prażmowski
cenzor.

L. 10309/32.

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Kraków, dnia 3 października 1932 r.

Prenumerata roczna 1·60 zł. — Numer pojedynczy 30 gr.

„Nasza Myśl" wychodzi kwartalnie.

Prenumeratę oraz korespondencję należy adresować:
„Nasza Myśl" Kraków, Kościuszki 86.

Wydawca: Br. Wincenty Albertyn.
Za redakcję odpowiada Br. Viator. — Za administrację: Figiel Władysław.

Drukarnia „Róż św. Teresy" Kraków, ul. Batorego l. 6.